

Narkotyki w Ameryce – 3

11 lutego 2010

Coraz mniej ludzi pamięta, że Południowa Floryda była kiedyś spokojnym i bezpiecznym zakątkiem Stanów Zjednoczonych. Były takie czasy.

Połączony kolejną z lądem południowy skraj Florydy, Key West, przyciągał artystów i pisarzy. To tu w roku 1928 Ernest Hemingway pisał „Pożegnanie z bronią”. Tu powstawała powieść „Komu bije dzwon” i „Śniegi Kilimandżaro”. Także w Key West Tennessee Williams pracował w roku 1947 nad sztuką „Tramwaj zwany pożądaniem”. Miami było zacisznym miejscem wakacyjnego wypoczynku, ze względu na spokój ulubionym głównie przez turystów w wieku emerytalnym. Miasto było bezpieczne. W latach 50. jeden radiowóz policyjny patrolował nocą ulice Miami na obszarze wielkości nowojorskiej Long Island. Nie znaczy to jednak, że w mieście nic się nie działo. Floryda była zawsze dogodnym miejscem przemytu. Tędy wiodły szlaki handlarzy broni, uciekinierów i imigrantów. Tędy też przemycano narkotyki.

W latach 60. i 70. całe południowe wybrzeże Florydy było całkowicie otwarte dla przemytu, a handel marihuaną był tutaj czymś powszechnym. Władze szacowały, że aż 95% dostaw tego narkotyku na rynek amerykański przechodziło przez Południową Florydę. Marihuana napływała tu w takich ilościach, że wielu mieszkańców mimo woli angażowało się w biznes. Każdy, kto miał łódź, mógł zająć się handlem. Z czasem jednak rynek osiągnął takie nasycenie, że sprzedaż zaczynała być coraz większym problemem. I właśnie wtedy pojawiła się nowa oferta handlowa – kokaina – która zmieniła Miami na zawsze.

Będąc z początku towarem luksusowym nowa używka konsumowana była przez reprezentantów prestiżowych zawodów, jak lekarze, prawnicy czy agenci nieruchomości. Jednak już w drugiej połowie lat 70., gdy jej cena spadła, kokaina stała się

najmodniejszym hitem towarzyskim całej Ameryki.

Handlem narkotykami na Florydzie zajmowały się gangi kubańskie, które współpracowały z mafią kolumbijską kontrolującą organizację produkcji w Medellinie w ramach kartelu stworzonego przez braci Jorge, Fabio i Juana Ochoa wraz z Pablo Escobarem. Jedną z największych w historii organizacji przestępczych generowała, jak szacowano, 2 mln dolarów dziennie, dostarczając 80% kokainy konsumowanej w USA. Znakomita część dostaw przechodziła przez Miami. Sposobów przemytu było wiele. Jednym z najbardziej bezpiecznych było transportowanie kokainy na pokładach małych, prywatnych samolotów prowadzonych przez obywateli amerykańskich z Kolumbii, przelatywanie nad Florydą w głąb stanu Georgia, przeładowywanie towaru do samochodów i wwożenie go do Miami autostradą od północy. „Robiliśmy tak przez 6 czy 7 lat. I nie mieliśmy z tym nigdy jakiegokolwiek problemu” – wspominał Jon Roberts, który przemycił w ten sposób dla kartelu Medellin kokainę o wartości ponad 2 mld dolarów.

Pieniądze ze sprzedaży narkotyków lokowane były w bankach w Panamie, która pod wodzą waszyngtońskiego pupilka i długoletniego współpracownika CIA Manuela Noriega była wówczas „Mekką przemytników zainteresowanych praniem pieniędzy”, jak informowały amerykańskie media. Bez konieczności dokumentowania źródła pochodzenia pieniędzy można było lokować w panamskich bankach gotówkę w ilości nieograniczonej żadnymi przepisami. Gangsterzy latali do Panama City z walizkami wypchanymi milionami, które z lotniska pod eskortą narodowej gwardii przewożone były prosto do sejfów Banco de Panama. Noriega gwarantował full service.

Biznes kwitł, tak i kwitło Miami. W drugiej połowie lat 70. Ameryka przeżywała głęboki kryzys gospodarczy, ale – jak donosiły media – „nie było żadnych oznak recesji na Florydzie”. Luksusowe jachty, ferrari, mercedesy i złote rolexy sprzedawały się jak nigdy dotąd, a olbrzymią trudnością w Miami było kupienie domu, gdyż podaż na rynku nieruchomości

nie nadążała za żarłocznym popytem. „Miasto tonie w kokainie” – donosiły media, choć w istocie miasto dzięki kokainie żyło. I to żyło dobrze. W bankach, które wyrosły jak grzyby po deszczu w mieście nie mającym w zasadzie żadnego zaplecza przemysłowego, nie nadążano ręcznie przeliczać deponowanej gotówki i koniecznym okazało się zainwestowanie w automatyczne urządzenia do liczenia pieniędzy. Oddział Systemu Rezerw Federalnych w Miami zdeponował jednego roku gotówkę w wysokości 5 mld dolarów, czyli więcej niż wszystkie pozostałe oddziały banku razem wzięte. „Miami można określić jako główne zamorskie centrum prania pieniędzy dla kolumbijskiej mafii” – mówiono oficjalnie, a lokalne media informowały, że „na Florydzie są tysiące nieruchomości o wartości ponad miliard dolarów, które zakupiono za nielegalnie zdobyte pieniądze”. Potężny mechanizm handlowy wspierany był przez rozbudowany system korupcji. Z nielegalnej sprzedaży narkotyków czerpali korzyści politycy, służby graniczne i policja. Biznes kwitł i wielki bal trwał. Kokaina była wszędzie. W toalecie każdej restauracji, nocnego klubu czy baru wciągano biały proch. „W Miami jeśli wyjmiesz dowolny banknot z portfela i poddasz go analizie chemicznej, znajdziesz na nim zawsze kokainę” – twierdził specjalista ds. analiz medycznych dr Joseph Davis.

W lipcu 1979 r. wielki karnawał radości zamienił się w koszmar, którego gorzki przedsmak mieszkańcy Miami przeżyli jako strzelanina w centrum handlowym Dadeland Mall. W mieście rozpoczynała się długa i krwawa wojna handlowa między kolumbijskimi i kubańskimi gangami narkotykowymi walczącymi o rynek. Ich członkowie, nazywani „cocaine cowboys”, zdołali przekształcić Miami w miasto, przy którym „Chicago z czasów prohibicji wyglądało jak spokojny niedzielny piknik parafialny”. Przemoc w Miami przyćmiła nawet Detroit. W pierwszej połowie lat 80. miasto uznawane było za najniebezpieczniejsze miejsce na Ziemi. W roku 1976 dokonano tu 104 morderstw, w 1979 r. – 367, rok później – 573, a w 1981 r. pobito kolejny rekord liczbą 621. Strzelaniny uliczne, po których w kałużach krwi znajdowano mniej niż cztery ofiary

śmiertelne, przestały nawet przyciągać uwagę mediów. Policja przeżarta korupcją i system wymiaru sprawiedliwości praktycznie nie funkcjonowały. Nerozwiązywalnym problemem było nawet oczyszczenie własnych szeregów z powiązań mafijnych. W pewnym okresie zwolniono lub aresztowano aż 16 policjantów zaledwie w przeciągu dwóch tygodni. Jesienią 1981 r., poświęcając tragedii główny artykuł numeru, redakcja magazynu „Time” nazwała Miami „rajem utraconym”. Dziewięciostronicowy ilustrowany reportaż był najgorszą reklamą i piekącym policzkiem dla władz miasta, które czerpało pokaźne zyski z turystyki. „Południowa Floryda – ten pocztówkowy zakątek Słonecznego Stanu (...) od Palm Beach po Key West – przeżywa wielką tragedię. Epidemia krwawej przemocy, plaga nielegalnych narkotyków i przypływ uchodźców uderzyły w Południową Florydę z siłą niszczącego huraganu” – bili na alarm reporterzy „Time” w artykule „Kłopoty w raju”.

Do rozwiązywania nierozwiązywalnych „kłopotów” powołano specjalną jednostkę policyjną CENTAC (Central Tactical Unit), której celem okazało się tropienie przez długie lata Griseldy Blanco, psychopatycznej matki mafii, która stosując dziką, okrutną przemoc, kontrolowała operacje handlowe w USA od końca lat 70 do jej schwytania na lotnisku w Rio de Janeiro w lutym 1997 r.

Dzięki olbrzymim zyskom handlowym, jakie przyniosła kokaina, z niewielkiego, spokojnego miasta, liczącego niecałe 700 tysięcy mieszkańców w roku 1950, Miami rozwinęło się w światową metropolię finansową i piąty najbardziej zurbanizowany obszar USA z liczbą ludności przekraczającą 5 milionów w roku 2000. Ze względu na wysoki stopień koncentracji korporacyjnego kapitału Miami sklasyfikowane jest dziś jako tzw. „miasto globalne” z wielką liczbą ponadnarodowych przedsiębiorstw kontrolujących przemysł i handel w Ameryce Łacińskiej.

Historia gospodarcza Miami drugiej połowy XX w. potwierdza od dawna już znaną prawdę, że delegalizacja handlu narkotykami nie likwiduje ani nie ogranicza w sposób zauważalny ich

konsumpcji. Powoduje natomiast zmianę formy przemocy, niezbędnej do asekuracji operacji handlowych. Fortuny, jakie przynosił handel, były zawsze i wszędzie związane z umiejętnością wykorzystania przemocy, a powodem wszystkich wojen toczonych w historii był właśnie handel i walka o rynki. W XVIII w. Kompania Wschodnioindyjska (sprawująca kontrolę m.in. nad światowym handlem opium) posiadała własną, największą na świecie armię, liczącą 250 tysięcy żołnierzy (dwukrotnie większą od armii królewskiej) i zarządzała nawet własnymi więzieniami. Dzięki swej sile była w stanie doprowadzić do upadku najbogatszy wówczas kraj świata – Indie. „Niewidzialna ręka rynku – pisał w 1999 r. czołowy felietonista dziennika „New York Times” – nigdy nie może działać bez niewidzialnej pięści – McDonald’s nie może rozwijać się bez McDonnell-Douglas, producenta samolotu F-15. Niewidzialna pięść, która utrzymuje świat bezpiecznym dla technologii z Doliny Krzemowej, nazywa się Armią Stanów Zjednoczonych, Siłami Powietrznymi, Marynarką Wojenną i jednostkami amerykańskiej piechoty”. Harwardzki politolog Samuel Huntington pisał, że Zachód zawdzięcza swe bogactwo „przewadze w stosowaniu zorganizowanej przemocy”, a nie jakimkolwiek innym względem. Interesy każdego zaangażowanego finansowo w politykę przedsiębiorcy asekurowane są policyjnym i militarnym ramieniem państwa. Państwo to struktura służąca organizacji przemocy. Delegalizacja handlu polega zatem na odmowie asekuracji rynku przez państwo i zmuszeniu przedsiębiorcy do organizowania przemocy na własną rękę. Koszt organizacji tej przemocy jest oczywiście wliczony w cenę towaru, np. każdej wciąganej w nos działki. Bo nic nie jest przecież za darmo... poza krainą raj utraconego.

Autor: Zbigniew Jankowski

Źródło: [Dziennikarstwo Obywatelskie](#)

BIBLIOGRAFIA

1. B. Corben, „Cocaine Cowboys”, Magnolia Pictures, 2006.

2. J. Kelly, „Trouble in Paradise“, Time, 23.11.1981.

3. T. Friedman, New York Times Magazine, 28.3.1999.